W kraju palm i słońca – 9

28 października 2022
Reportaż Artura Gruszeckiego z roku 1890 z emigracji Polaków do Brazylii. Pisownia oryginalna z tamtej epoki.

Na koloniach

Kolej z Rio Negro do Kurytyby stoi czas dłuższy na stacji Serinha. Na peronie tłum ludzi, bo to czas świąteczny przed Bożym Narodzeniem. Włosi wrzaskliwi, rozmachani; Brazylijczycy z miną panów; kabokle w patynkach, boso, śmiali, ogorzali, uzbrojeni nożem i rewolwerem, z nahajką skórzaną w ręku, krzyczą głośno, owinięci w palię, rodzaj szala krojem i sposobem wkładania przypominający ornat; kilku kolonistów. W tłumie spostrzegam młodego, przyjemnego blondyna.

– Pan Polak? – pytam.

– Poznał mnie pan? Poznał, żem Polak? – woła ucieszony. – I po czym?

– Różni się pan od nich – wskazałem na tłum.

– I ja tak myślę – odpowiada z dumą.

– Skądże pan jedzie?

– Jadę do domu, do Abranches (kolonia pod Kurytybą), z Rio Negro. Tam służę przy kolei; jak oni nazywają, jestem capataz, a u nas werkmajster.

– Ależ licha kolej!

– Cóż dziwnego? – odpowiada z uśmiechem lekceważenia – W Brazylii wszystko bez porządku, nie tak jak u nas.

– A pan dawno przybył?

– Ja tu urodzony. Starszy ostał na gruncie, a nas czterech we fachu.

– To pan tutejszy?

– Nie, panie, ja Polak, tylko tu urodzony.

W Kurytybie czekała mnie niespodzianka, nadzwyczaj miła i przyjemna, gdyż zaledwie rozgościłem się w tak zwanym „Grande Hotel”, pierwszorzędnym, ale też brudnym i pełnym barratas, małych jaszczureczek, tysiąconogów i moskitów – gdy zjawili się w progu dwaj nie tylko Europejczycy, nie tylko Polacy, lecz i Warszawiacy: panowie Bielecki Leon i Dmowski Roman.

Kto nigdy nie był na dalekiej obczyźnie, wśród obcych duchem, cywilizacją, temperamentem ludzi, kto nie widział wokoło siebie natury odmiennej, niezrozumiałej i przygnębiającej swym bogactwem barw i form, ten nie pojmuje, jaka ciężka, nieprzejednana, bliska obłędu tęsknota, jaki głęboki smutek bez słów i skargi, jakie wrażenie pustki i osamotnienia, niemocy i zapomnienia przez wszystko i wszystkich opanowuje człowieka.

I w takiej właśnie chwili przypadek stał się wybawieniem i pociechą: obaj przynosili z sobą Warszawę, pola, śniegi, słońce i mowę, mowę polską.

Naturalnie projektujemy wspólne zwiedzanie pobliskich kolonii polskich, a na uczczenie dnia wspólny obiad, który ma przygotować Barczak, gospodarz Towarzystwa „Zgoda i Jedność”, mały, czarniawy, były kolonista.

– My, Polacy, jadamy zawsze barszcz, więc, panie Barczak, barszcz być musi – rozporządza p. Bielecki.

– A następnie?

– My, Anglicy – odzywa się pan Dmowski tonem gentlemana, nieznoszącego opozycji – jadamy mięso, więc, panie Barczak, mięso być musi.

— A do mięsa?

— My, Francuzi, jadamy sałatę, więc, panie Barczak, sałata być musi — uzupełniam obiad.

Barczak namyśla się i mówi z pewnym wahaniem:

— A jeśli czego zabraknie? Bo ja dałbym, ale nie wiem, czy dostanę…

— Nie ma u nas zwyczaju więcej dawać, niż się ma — decyduje p. Bielecki.

— Tak to co innego — uśmiecha się gospodarz i znika.

W pokoju, ustrojonym kwiatami róż, werben, begonii, oleandrów i storczyków, przy palących promieniach słońca, gdyż w cieniu jest 32°C, jemy wigilię, a mówimy i marzymy o naszych bliskich, tam, na północy, wśród śniegu, mrozu, pod zimnym, mglistym, chmurnym słońcem.

Wyjeżdżamy na kolonie konno, gdyż drogi są w stanie opłakanym. P. Dmowski, jako sokół lwowski, na siwym, ładnym koniu, który jednak najdalej na dwudziestym kilometrze rozpiera się i bezwzględnie żąda odpoczynku; pan Bielecki ze względu na urząd kwatermistrza jechał na doskonałym mule, którego pojętność, ostrożność i wytrzymałość podziwiamy przez całą drogę.

— Czy wszystko dobrze? — pyta pan Dmowski tonem wątpliwości i współczucia.

— Bardzo dobrze — odpowiadamy niepewnym głosem.

Jedziemy.

Spotykamy ładnego blond chłopca, bawiącego się z Murzynkiem.

— Hej, mały! Daleko do Orleans?

— E, nie, przez kiempę (step), las, pole i zaraz kościół.

Murzynek w uśmiechu pokazuje białe zęby.

– Nauczże tę czarną małpę po polsku!

– Już umieć! – wykrzykuje wesoło Murzynek.

Na stepie falistym, porosłym ostrą, kupkowatą trawą, drzewiastymi roślinami, pasie się stado krów pod dozorem dwojga dzieci. Dziewczynka nakrywa się od mżącego deszczu jaskrawą chustą matki, a chłopczyna w kapeluszu słomianym, bosy, przepasany krajką, wygwizduje oberka. Polskie dzieci… I gdyby nie sosny brazylijskie, podszyte barwnie kwitnącymi krzewami, gdyby nie krowy wielkie z dziwacznymi rogami, korowód mułów objuczonych, przemykające się sylwetki caboclów, miałoby się złudzenie, że się jest gdzieś w Królestwie… wśród swoich.

Na drodze leśnej co chwila mijają nas wasągi. Dobre konie w lic, w krakowskich lub mazurskich chomątach, a jadą ostro, śmiało, mimo wybojów, korzeni, błota; wesoło, ze śmiechem, śpiewkami, z fantazją, że mimo woli dźwięczy w uszach:

A z góry, z góry,
Jadą Mazury…

– Jechaliście ojciec do kościoła jak szlachcic.

Spojrzał butnie i rzekł drwiąco:

– Nasz szlachcic jechał ci co prawda do kościoła w cztery konie, ale miały dwa oczy, a my w osiem oczu – dodaje dumnie.

Przed kościołem rojno, tłumno; mężczyźni z miejska ubrani, kobiety przeważnie w barwnych, jaskrawych spódnicach krojem polskim; twarze wesołe, zadowolone, śmiałe; młodzież rosła, doskonale odżywiona, zdrowa; gwar, swoboda, wesołość: zupełnie jak na odpuście naszym. A gdy w kościele śpiewają: „Gwiazdo morza…” przed cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej,

ustrojonym w kwiaty, zdobnym w wota, to można zapomnieć o morzu, Brazylii, Paranie i czuć się u siebie, wśród swoich.

Pomiędzy wotami są okręty „za szczęśliwą podróż”, nóżki, rączki, niemowlęta, ofiarowane Cudownej Maryi Pannie, i są serca ze wzmianką o swoich, o kraju…

— Panowie z kraju?… Bo ja jestem empregado publico nad tutejszą szkołą.

— Ile dzieci uczęszcza? — pyta pan Bielecki z przygotowanym jak zawsze notesem i ołówkiem.

— Zwykle trzydzieści, ale bywa i pięćdziesiąt; za dziecko dwa milreisy miesięcznie.

— Czego pan uczy?

— Udzielam sześć razy na tydzień języka brazylijskiego po dwie godziny. Rozumiecie, panowie, jako empregado publico uważam tę naukę za najważniejszą.

— A polskiego?

— Codziennie godzinę, to wystarcza.

— Dzieci zdolne?

— Po polsku, to aby im raz pokazać, już i dobrze, ale państwowy, brazylijski ciężko, choć im kładę w głowy jak łopatą, a jako empregado publico chcę i muszę uczyć tego języka, bo on im w życiu konieczny.

— Pan dawno tu nauczycielem?

Spojrzał z politowaniem, uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

— Nauczycielem był tylko Chrystus Pan; ja jestem profesorem.

— Pan dawno profesorem? — pyta niezmieszany pan Dmowski.

— Już pięć lat oświecam ten naród.

U wendysty na razie pusto, on sam stoi poważny, zamyślony, za ladą.

— Jakże panu idzie interes? — pyta pan Bielecki z notesem w ręku.

— Hm… kaszas, piwo, drobne rzeczy idą jako tako, ale łokciowe jak z kamienia.

— I dlaczegóż to?

— Moda, panie… Wszystko u bab robi moda — westchnął ciężko, rozkładając ręce na znak bezsilności.

— Należałoby się zastosować…

— I ja to wiem… Ot, przed rokiem cioteczna żony przywiozła z kraju dwie paki towaru… Panie! W ciągu dwóch dni utargowałem tysiąc dwieście milreisów — opowiada z błyszczącymi oczyma. — Te spódnice, fartuszki, jubki, chustki, to wszystko z mojej wendy… a teraz ani zajrzą do mnie.

— Będzie lepiej — mówi pan Dmowski z miną Anglika, którego słowo oznacza czyn. — Towar się sprowadzi i za rok, za półtora, dostanie go pan w Kurytybie.

— Daj Boże, daj Boże…

Do wendy wszedł kolonista, kupując drobnostki dla dzieci: dziewczyna lat 12, chłopak może 14.

— Ojciec, a dzieci chodziły do szkoły?

— To się wie, a bez cóż by nie?

— I umieją co?

— Po polsku to czytać i pisać potrafią, a jakże…

— A po brazylijsku?

— Hm… to widzi pan tak: chłopak chodził cztery lata do tej

szkoły, a jak przyjdzie coniebądź pogadać z Brazyluchem, to ani weź! Niby mój gada, cóż, kiej tamten nie rozumie.

– To dziwne, bo przecież był w szkole.

– Nasz profesor niby uczy i pilnie, cóż, kiedy bez nijakiego pożytku dla dzieci.

Ksiądz proboszcz, ucieszony naszym przybyciem, chwali się kościołem, ładnymi drzwiami, zrobionymi przez kolonistę z motywem tutejszej przyrody, i prosi na obiad.

Plebania ładna, wygodna, z ogródkiem pełnym bratków, malw, georginii, gwoździków, modraków…

– Ależ tu ładnie!

– Hawok byście zobaczyli mój ogródeczek, aż się serce radowało… a tu, ot i spojrzeć nie ma na co.

Po obiedzie ksiądz wziął skrzypce do ręki, śpiewa o „Janosiku”, o „wirchach” i „halach”, a z twarzy i ruchów widać, że go zjada tęsknota do swoich.

Przy czarnej kawie weszła i siostra księdza.

– Co proszę?… Panowie do nas?… To może i Lwów znacie? – zaśpiewała przeciągle. – Bo dla mnie Lwów, taj daruję wszystko.

Tę tęsknotę do swoich, do kraju, mniej lub więcej uzewnętrznioną, spotyka się wszędzie u kolonistów.

Natury tutejszej koloniści nie lubią, nie zżyli się z nią, wydaje im się wroga, niemiła. Liczne węże, jaszczury, napełniają ich trwogą; dokucza im mnóstwo owadów zjadliwych lub obrzydliwych, jak wielkie karaluchy brazylijskie barratas, bardzo liczne i mnożne (Blatta orientalis), fruwające, a dochodzące do 7 cm długości; moskity drażniące; matucos, gatunek bąków, składających jajeczka pod skórą ukąszonego;

szkodliwe mrówki (Formica cephalotes); małpy, niszczące zasiewy, i wielkie koty drapieżne.

— Co tu lubić w tej Brazylii?… Aby nie ziemia dobra, to tylko splunąć i uciekać.

Po ogródkach u naszych kolonistów spotyka się niemal wszędzie malwy, bratki, fiołki, modraki, laki i lewkonie, wyrosłe w drzewka, chociaż wokoło mają pysznie ubarwione kwiaty. Jedynie drzewo mirtowe, oleandry i fuksje przyjęli z tutejszej flory.

* * *

Wiezie mnie Pikusa, młody, dzielny, wesoły kolonista, wasągiem w lic. Powozi śmiało, z fantazją krakowską, strzela przy mijaniu z bata jak z pistoletu.

— A dawno w Brazylii?

— Ojcowie siedzą tu od dwudziestu trzech lat.

— Ileż wam?

— Dwadzieścia trzy.

— Toście wy Brazylianin?

— Bogu chwała, nie — i śmieje się głośno, wesoło: — Ja tam nie żaden Brazyluch! Matka mnie w łonie przywiozła.

* * *

Ładna, młoda dziewczyna przyjmuje dość lekko i obojętnie umizgi dwóch chłopców.

— Panna może pójdzie za Brazylianina? — zażartował ktoś.

Odęła usta, zmarszczyła się i z gniewem odpowiedziała:

— Żeń się pan z Brazylianką!… Lepsza mi śmierć.

— Chociażeś moja, a wolałbym cię na marach, jak z Brazyluchem

— przyznaje ojciec.

A tak zwana inteligencja mówi głośno:

— Nic mi nie pozostaje, tylko ożenić się z bogatą Brazylianką.

* * *

W szkółkach polskich uczą się dzieci z elementarzy galicyjskich, poznańskich, warszawskich.

Dzieci, które nie widziały nigdy wierzby, brzozy, naszych łąk, wróbli, srok etc., etc., uczą się o nich. Elementarz, zastosowany do stosunków brazylijskich, jest bardzo potrzebny i konieczny. Mała stąd pociecha, że Brazylijczycy w szkołach swoich posiadają obowiązujące czytanki (edycja 26: Primeiro livro da leitura i Segundo livro, obie nagrodzone), traktujące obszernie o przepiórkach, jeleniach, żniwach, bławatkach etc., książki, zapożyczone od Francuzów i ślepo stosowane w Brazylii.

* * *

Koloniści i rzemieślnicy w ogóle są zamożni, a w okolicach Kurytyby posiadają drobne kapitały.

— Dlaczego synów nie posyłacie do szkół wyższych?

Zawsze odpowiadają, że w brazylijskich prócz lenistwa niczego się nie nauczą, a innych szkół, pożytecznych, rozumieją: praktycznych, nie ma wcale w Paranie.

Koloniści nie potrzebują ani żądają składek, ofiar, dobrodziejstw macierzystego kraju, w którym tylu, aż tylu jest analfabetów, celem utworzenia szkół w Paranie. Mają z czego zapłacić i zapłacą, ale niech ktoś założy szkołę, nie jako łaskę, jako szczególny objaw poświęcenia, ofiary, lecz jako interes dobry. Niech ta szkoła da chleb wychowańcom, możność zarobkowania, niech się przystosuje do warunków tutejszych — a może liczyć na powodzenie pod każdym względem.

* * *

W stosunkach handlowych są dalsze kolonie na łasce i niełasce wendystów, u których się zaopatrują drogą handlu zamiennego w ubrania i artykuły spożywcze. Bliżsi, pod Kurytybą, są przeważnie w ręku pośredników: ojca i syna Rosenmannów i Flachsa. Ci trzej Żydzi skupują produkty rolne i dyktują ceny. Tę samą rolę w Rio Negro odgrywa Andrée. Chłopi, podobnie jak u nas, drwią sobie z Żydów i ich brazylijszczyzny, ale z nimi nie zrywają.

Zarządzający sklepem Żydek, udający Brazylianina, nazywa siebie caséiro (portug. rządca), a pies po brazylijsku jest cachorro.

— Hej, kaszoro, dawaj mi prędzej, bo czasu nie mam! — woła kolonista.

— Ja nie kaszoro, ale kazejro.

— Co ty mnie będziesz uczył! Kaszejro czy kaszoro to wszystko jedno.

— Was zawsze trzymają się żarty — mówi, wręczając towar — a ja przecież kazejro.

— Tak czy siak, Żydem zostaniesz — A wszyscy obecni, śmiejąc się, dogadują.

Czy koloniści mają długi, jest rzeczą wątpliwą; nie mówię o drobnych w sklepie. Dochodzenie długu i egzekucja jest w Brazylii długa, kosztowna i… bądź co bądź „faka rozstrzyga, kto ma recht”. — Zapewne z tego powodu stosunkowo tak mało Żydów tutaj.

Wyzwolenie kolonistów z ekonomicznej zależności od wendystów, ułatwienie im sprzedaży produktów rolnych, puszczenie w obieg gotówki, wytworzenie polskiego domu handlowego jest rzeczą nie tylko potrzebną i pożądaną, lecz konieczną, bo z ekonomicznym rozwojem kraju wzrośnie w stosunku geometrycznym liczba

pośredników i może się powtórzyć w Paranie gospodarka galicyjska: bez przemysłu, bez handlu, niewola u drobnych kapitalistów.

* * *

Po dość sutym, chociaż przypadkowym przyjęciu u kolonisty, pytam:

— Wy tak wszyscy żyjecie?

— Wszyscy nie wszyscy, no i nie w każdy piątek jest świątek — uśmiecha się, patrząc na mnie jako na gościa.

— A jaki jest zwykły porządek?

— Rano to u każdego kawa (kilo kawy kosztuje mniej więcej 25 do 30 kop.) i chleb z omastą, a nim z południa słonko przygrzeje, to zjemy fiżon, kartofle albo pataty, no i u bogatszych siarkę.

— I znów do roboty?

— Ee, nie; toż okropa, jaki gorąc: legniem chwilę, potem kawa z chlebem, robota, no i kolacja.

— Jaka?

— Fiżon, niebądź kasza i jak czasem mięso.

— Ho, ho, to dobre jedzenie!

— Ii, byłoby dobrze, aby nie gorąc: tutaj słonko wyssie z człowieka wszystkie siły; nie podjadłszy, to i zmarniałby człowiek do szczętu.

* * *

— To pan wracają do Polski?

— Wracam.

— A będą pan w Częstochowie?

— Będę.

Wyszła, po krótkiej chwili wróciła.

— Już moje oczy pewno nie obaczą cudownego obrazu… niegodnam tego — mówi prawie ze łzami. — Niechże pan to dadzą na ofiarę — i wyciąga milreisa oszczędzonego.

— Pozwólcie, matko, że już was sam wyręczę i dam.

— Nie może być.

— Toż na milreisach tam się nie znają.

— Prawda… Niechże pan da za mnie, jeśli łaska… i życzę panu dobrego rozstania.

— ?

— Z Brazylią… bo tu o choroby i śmierć nietrudno; moich czworo umarło, a co po ludziach, to i nie zliczyć.

— Dziękuję matko, za życzenie; dokuczyła mi już Brazylia.

— My tam jej nie hańbujem — odzywa się mąż. — Ziemia dobra, aby ino ludzie i porządek był inny.

* * *

Poważny i zamożny kolonista, wspominając czasy swego przybycia do Parany, mówi:

— Zaś jakośmy zjechali ze Śląska, w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym, to oni (Brazylijczycy) roli i pługa nie widzieli, żyli w budach bez okien; murowanych ani poświecić; chodziło to, i największy pan, w patynkach, chleba zaś nie znali, tylko placki z milii; kawy nie pijali, tylko swoją herwę. My zaś nauczyliśmy ich, co to rola, co to gospodarka, co cegła, co szyby, co talerze i szklanki; że są

na świecie buty i chleb, i kawa. Chociaż ci z lasu zawsze lgną do herwy, a jak ma buty, to już wielki pan – zaśmiał się z ironią.

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Artur Gruszecki
Źródło drukowane: „W kraju palm i słońca. Wrażenia z podróży”, Księgarnia Wydawnicza J. Czerneckiego w Wieliczce, Kraków
Źródło internetowe: WolneLektury.pl
Licencja: CC BY-SA 4.0